ROK X. WARSZAWA, 15 CZERWCA 1921 R. ZESZYT XI

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Walka z wiatrakami.

I. *O szczerości.* Temat ten nastręcza wielkie trudności, ponieważ niemożliwe jest ścisłe jego ujęcie; granice jego oraz punkt ciężkości nie są zgoła określone, są wszędzie i nigdzie zarazem. Szczerość nie stanowi wartości wymiernej, dające się dokładnie kontrolować, jestto wartość nieuchwytna, przenikająca aż do najskrytszych naszych czynów, uczuć i myśli, potęga tajemnie obecna we wszystkiem i przesączająca się niejako aż do arterji życia.

Osobliwe to widowisko: życie — dla każdego, kto niestosuje się do zbawiennego i wielce rozpowszechnionego zwyczaju nieprzyglądania mu się. Kiedy staramy się spojrzeć jasno w siebie samych i w nasze otoczenie, niezmiennie oddychamy przykrą atmosferą śmiesznego udania i gorzkich oszustw. Wyobraźmy sobie człowieka dostatecznie mądrego — i szalonego zresztą — na to, by ważył w ciągu jednego tylko dnia prawdę we wszystkiem, co go otacza; musimy przyznać, że takie doświadczenie wystarczyłoby do przedstawienia mu kłamstwa jako zła podstawowego, zła naturalnego, które się rodzi i rozkrzewia po całym świecie, pacząc już u źródeł wszelkie poczynania ludzkości i zachwaszczając swym zdradliwym rozrostem wszystko, co żyje.

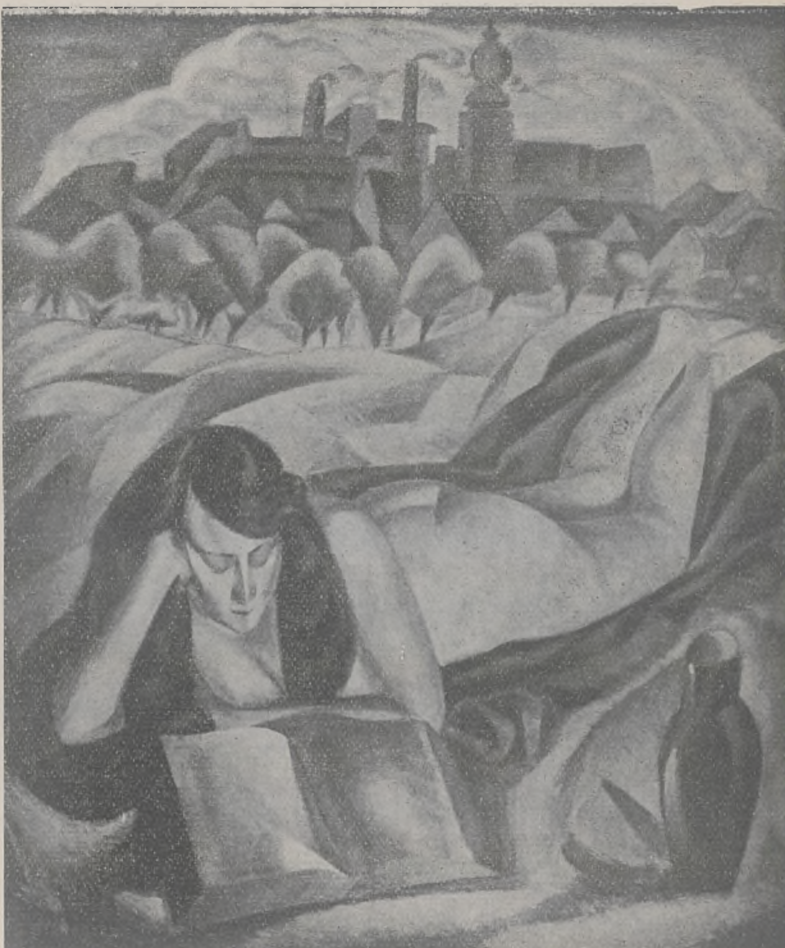
Kłamiemy ustawicznie — mową i pismem, gestem i postawą; kłamiemy w pokoju zacisznym i w gwarnych salonach. Szepce się kłamstwa na ucho i obwołuje się je donośnie na forum publicznem. W domu kłamie nam gazeta, kłamią książki, a na ulicy afisze na murach nas zwodzą i oszukują nas szyldy nad sklepami. W polityce czy skarbowości mówi

się o „sprężynach“, i, nie wyłączając nauki i sztuki, niemasz tak szlachetnej dziedziny, którąby nie miała swoich „sztuczek“. We wszystkich formach żywotności społecznej prawdy zewnętrzne powlekają nie odpowiadające im prawdy ukryte. Ustawicznie odgrywa się komedja; celem jej jest zamaskowanie rzeczywistej sprawy — sprawy miłości własnej, którą nielitościwie podpatrzył La Rochefoucauld w swych maksymach, mówiąc, że „miłość własna jest źródłem wszystkich naszych postępków, i że „cnoty tak giną wśród zysków i interesów, jak rzeki przepadają w morzu“. Zresztą aktorzy tej komedji najczęściej mają oblicza uprzejme i zachowują wzajemnie pozory grzeczności. Ale pod maską łagodnej sympatji — wszędzie egoizm czuwa. Zda się, że wszyscy się wysilają dla wyższego dobra wspólnej sprawy, a właściwie każdy li o swą własną się troszczy. Niestety! histrjonem jest nawet ten, kto przeklina kamedjanctwo; nikt na tym świecie nie może mówić ani działać całkowicie według tego, jak myśli. Oszukujemy bliźnich, ilekroć wypowiadamy się, i ta ułomność może stanowi warunek ogólnej naszej egzystencji.

Idziemy jednak dalej jeszcze, ustawicznie staramy się oszukiwać samych siebie, i — jakkolwiek trudnem i paradoksalnem zdawaćby się mogło takie przedsięwzięcie — trzeba przyznać, iż wręcz najmniej wprawnym udaje się ono w zupełności. Rozumujemy i wydajemy tedy zapomocą swych namiętności, czy to świadomie czy bezwiednie, i w ten sposób poznajemy siebie i wszystko, co nas otacza, w świetle fałszywem, ponieważ to poznanie budujemy stale stosownie do naszych pragnień, zamiast — jakby należało — czerpać je z duszy bezstronnej. Skutkiem tego żyjemy w atmosferze ciągłej fikcji, stwarzanej przez własną i bliźnich nieszczerość, i kłamstwo przez to samo staje się kształtem zasadniczym i, rzecby można, ośrodkiem życia.

Przyjrzymy się teraz: czem jest szczerość, jaką rolę odgrywa w dzisiejszem życiu ludzkości i jakim ulega spaczeniom.

Najprostszem określeniem szczerości jest następujące, sformułowane przez Gabriela Dromard'a: jestto postawa, zapomocą której podajemy poznaniu tak własnemu jak bliźnich wyobrażenia odpowiadające naszej rzeczywistości wewnętrznej.



Kompozycja. Z. Pronaszko.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Otóż szczerość idealna nie istnieje w dziedzinie praktycznej, ponieważ człowiek nigdy nie może dokładnie poznać samego siebie, z drugiej zaś strony — przez sam fakt życia niejako zmuszony jest do kłamstwa zasadniczego. Tedy — z punktu widzenia absolutnego — człowiek nigdy nie może ukazywać się takim jakim jest, zatem i w stosunkach z innymi ludźmi nie może się takim ukazywać, gdy to czem rzeczywiście jest nie odpowiada temu czem jest w swem mniemaniu.

Kłamiemy tedy w pewnym stopniu zawsze; ale kłamstwo nasze — również w pewnym stopniu — jest nieświadome i pomimowolne; nikt nigdy nie jest całkowicie szczery ani też całkowicie nieszczery; szczerość doskonała równie jak i absolutna nieszczerość pozytywnie nie istnieją.

Jakież są warunki, w których szczerość się w naszem życiu rozwija? Nie ulega wątpliwości że kłamstwo społeczne w kłamstwie indywidualnem ma swe źródło, jest niemniej pewnem, iż kłamstwo jednostki uwarunkowane jest jej stanowiskiem w życiu społecznem. Zawisłość ta jest jaskrawie widoczna; wynika z zasadniczego i stałego dążenia społeczności do podporządkowania ją indywidualnego — zbiorowemu. Zbiorowisko społeczne niestrudzenie prowadzi swoją funkcję niwelacyjną, usiłuje swych członków urabiać na jedno kopyto, niwecząc pod maską anonimowości to wszystko, co w nich jest oryginalne i „przeciwstawialne“.

Świadomie lub bezwiednie, każdy jest antyspołecznym w pewnej cząstce swej istoty, w warstwie rdzennej, najdawniejszej i najżywotniejszej; otóż tę część musi stale poświęcać i codziennie się jej w mniejszym lub większym stopniu wyrzekać, z chwilą gdy godzi się na współżycie z innymi. Lecz ten stan rzeczy nie może się utrwalać bez pewnego przybrania, maskującego to co w niem jest ironją i sprzecznością; niezbędny jest ku temu cały skład umów, kompromisów, pozornych porozumień symulujących zgodę i otulających wojnę w płaszcz pokoju, niezbędne jest rusztowanie z kłamstw, z których jedne służą wielkim sprawom, podczas gdy drugie drobnych się imają. Jest fałsz wielki i fałsz mały: pierwszy zwie się Moralnością, drugi — Ogładą. Obydwa zmierzają do zredukowania naszej indywidualności, posiłkując się licz-

manami zwanymi Prawem i Opinją i dążą do umożliwienia współżycia ludzi.

Moralność jest fałszem, ponieważ, występując jako nakaz bezwzględny, jako objawienie równie tajemnicze jak święte i rozporządzając dla zapewnienia sobie triumfu całym arsenałem rozlicznych powinności i sankcyj, które interweniują w rozmaitych okazjach zależnie od okoliczności i osób, sztucznie łączy to, czem jesteśmy z tem, czem być powinniśmy. Żyć moralnie — to ukrywać swoje ja indywidualne, które wszelako bez ustanku czuwa skurczone pod przykrywką, i w odwet udawać ja zbiorowe, wysuwając je jako rzekomo naczelny motor życia. Jestto więc fałsz zbawienny, fałsz o źródle szlachetnem i który kiedyś — w społeczeństwie idealnem przestałby być fałszem; ale wówczas właśnie moralność straciłaby zupełnie swą rację bytu.

O Ogładzie możemy powiedzieć, że cel jej jest analogiczny z celem Moralności, mianowicie: zwodzić rdzennego człowieka, zastępując go jaźnią umówioną. Grzeczność dąży również do udostępnienia ludziom wspólnego bytowania.

Być albo nie być sobą — oto wielkie pytanie życia. O ileż łatwiej być każdym, niż być jednym tylko samym sobą: „Iluż ludzi, powiada Romain Rolland, posiada odwagę wydarcia się z więzów pewnych przesądów, pewnych postulatów krępujących ogół. Byłoby to wzniesieniem muru pomiędzy sobą a innym. Po jednej stronie — swoboda na pustyni, po drugiej — ludzie. Nie wahają się, wolą ludzi, stado. Stado cuchnie, ale w niem ciepło. Wtedy udają myśli, których nie mają. Przychodzi im to bez trudu: tak słabo wiedzą, co myślą“. Zaś Dromard konstatuje: „Nader nieliczni są ci, co znają pozytywnie przeżuwanie myśli. Niektórzy myślą jakgdyby przypadkiem. Większość — nie myśli wcale“.

Owoż tę świadomość należy przedewszystkiem rozwinąć względem swej własnej osoby. „Zanim się zacznie istnieć dla innych, ważne jest, by istnieć dla siebie samego; nim zaczniesz się udzielać, wprzód musisz się zdobyć“ woła Maeterlinck.

Niezawisłość umysłu, siła charakteru i rozwój woli—tak abyśmy mieli odwagę zarówno silnie wierzyć jak silnie wątpić, stanowią kardynalne czynniki szczerości. Zawadą zaś w tym względzie jest równie znana powszechnie jak po-

wszechnie zakorzeniona obawa przed śmiesznością czy kompromitacją, ów fałszywy wstyd, z którym w parze idzie przypisywanie niezmiernie doniosłej roli temu, co nazywamy szacunkiem ludzkim. Jasne spojrzenie w tym kierunku odrazu ukazuje nam całą śmieszność tej obawy i niepowagę tego szacunku; śmieszność może być groźną jeno dla tych, którzy się jej boją, zaś szacunek ludzki jest najczęściej antytezą szacunku dla samego siebie, przeciwieństwem prawdziwej godności, tej podniośle pojętej miłości własnej, czci oddawanej we własnej istocie idealnemu człowiekowi, która z chwilą zbudzenia się poczyna dźwigać tę istotę ku ideałowi. Lecz nie są to rzeczy łatwe, ponieważ najprostszą manierą życia jest żyć tak, jak żyją wszyscy. Mowa tych wszystkich — to opinja, czyny ich — to tragedja.

Głównym atrybutem szczerości jest prawdomówność, stanowiąca owo maksimum dostępnej ludziom szczerości; z nią są konsekwentnie związane: otwartość oraz zaufanie; te zaś wartości ulegają najróżnorodniejszym stopniowaniom i fluktuacjom, regulowanym przez siłę napięcia czynnika, który zgoła nie wyłącza istnienia szczerości, lecz, przeciwnie, nieraz jej głębszy, subtelniejszy ton nadaje: mówię o umiarkowaniu, o owej powściągliwości szanującej świątynię cudzych tajemnic i broniącej duszy przed intruzami, którzyby zbyt bezceremonialnie w zabłoconych butach wtargnąć do niej chcieli, o tej rezerwie, trzymającej straż przy cennym skarbie naszej istoty wewnętrznej, jakim jest godność.

Tu występuje różnica pomiędzy szczerością a samą otwartością, różnica subtelna, którą przeto większość ludzi pomija, która ich nieraz łudzi. Jakże często słyszymy zdania o ludziach, „rżnących prawdę prosto w oczy“, o ludziach „z duszą na talerzu“, o owych rubasznych ichmościach, u których „panie dobrodzieju, co na myśli, to zaraz na języku“; postawimy obok typ człowieka małomównego, zatroskanego tem, że „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie“ i że — jak powiada Joubert — „słowa są jak szkła: zaciemniają wszystko to, czego nie rozjaśniają“, dalej typ dziecka zrażonego jakąś jedną wymijającą, ironiczną lub niedbałą odpowiedzią dorosłych na jego pytanie, albo dziecka, które nie umie być ożywionem, ekspansywnem i serdecznem w gromadzie i jeno na uboczu, w osamotnieniu przeżywa swoje tak

dla niego realne radości i tragedje; dodajmy wreszcie typ człowieka, który nie może głośno mówić o swych uczuciach, usuwając się w cień przed krzykaczami, cierpiąc za to i nieraz na tem tracąc wobec otoczenia, jak Kordelia w „Królu Learze“ zdystansowana przez ząbiegliwe siostry, — a delikatność i wielostronność zagadnienia, którą nam powyższy obraz zaznacza, przed zbyt pobieżnem przestrzegą nas wnioskowaniem. Dla ilustracji warto tu przytoczyć świetny aforyzm Jouberta: „Prawda podobna jest niebu, zaś opinja — chmurom“ oraz zdanie arabskiego śpiewaka „Ogrodu Pieszczot“ — „Nie mów nigdy: co za milczenie! mów — nie słyszę!“

Na to, aby być szczerym, człowiek musi być zaopatrzony w pewne niezaprzeczenie dodatnie walory moralne; z drugiej zaś strony przez to, że jest szczerym, człowiek równocześnie nabywa mocy niepospolitej, a szczerość jest mu kunsztownem narzędziem i cenną bronią. Zachodzi tu progresywne zjawisko dodatniej akcji i reakcji wzajemnej. Szczerość rozwijać się może tylko u natur szlachetnych, u elity intelektualnej, u arystokratów ducha.

Być szczerym — to być silnym i niezawisłym, to oddawać cześć prawdzie — nawet błądząc, oddawać cześć „wszystkim drogom, co wabią bezrubieżną troską, a na których choć zbłądzi kto — to zbłądzi bosko, wszystkim szczytnym zmaganiom, gdy o walki losie rozstrzyga nieśmiertelność — w poległym herosie; być szczerym — to w rzut wieczysty prolongować swoje istnienie w kształcie coraz pełniejszym i coraz bardziej harmonijnym, słowem — realizować się, należąc do tych szeregu, co mogą o sobie powiedzieć: „Śród mroków i bezdroży jedną wiecznie jasną każdy z nas żyje prawdą, celem ponad cele: ziszczać samego siebie, wypełniać treść własną, — a to jest naszym duszom tak wiele, tak wiele!“

MICHAŁ GABRYEL KARSKI.

2)

Pokrakowska pomsta.

(Dalszy ciąg).

Germanofilski do szpiku i do rdzenia nastrój Krakowa podczas wojny jest faktem nie ulegającym kwestji i nie dającym się wymazać z historji Są szczegóły, których nawet nie bawiący się w dyskrecję satyryk zawaha się pod światło opinji wywlekać. Jeszcze przed wybuchem wojny obyczajowość, kultura, maniery przeciętnej inteligencji były doszczętnie infekowane austryjacką germańszczyzną. Premjery Wyspiańskiego szły swoją drogą, a na koncertach śpiewacy i śpiewaczki niemieckie śpiewały wyłącznie po niemiecku, a na ekranach kinematografów napisy były wyłącznie niemieckie a najintelektualniejszy klub uniwersytecko-profesorski, który zbierał się zawsze raz na tydzień u Hawełki nazywał się... „Zeitgenossen". Sztuka i literatura kwitły, ale w księgarniach 45% książek sortymentowych był niemiecki, a w kawiarniach stosy tylko wiedeńskich, berlińskich i budapeszteńskich gazet. Każdy Krakauer podróż poślubną odbywał do Widnia, zdejmował „habiga" na podwórcu w Burgu a głos mu drżał od wzruszenia, gdy opowiadał o urokach Semeringu. Jeden bohaterski Boy tłomaczył francuskie arcydzieła a setki boyów przyswajało polszczyźnie kolejowy szund niemieckich powieścideł. Wawel był sobie Wawelem, ale pod Wawelem stawiano na gwałt kamienice i zinshausy w modernym secessyjnym stylu. W olbrzymiej i obrzydliwej sznitzlo-dajni Drobnera przy wojskowej ogłuszającej orkiestrze, rżnącej wyłącznie Waldteufle, Ziehrery, Komzaki i Scharwenki słyszało się wyłącznie tylko szwabsko-morawsko-iglawsko-czeski żargon a polszczyzna kryła się w jamach Michalika lub ziewała w dystyngowanym ale brudnym Grand-hotelu. Pod „sprężystym" patronatem Medyceusza-Lea zaczęło się ongiś piękne archaiczne miasto na gwałt modernizować aż wreszcie i zbliżyło w swej fizjognomji zewnętrznej do miast „Zachodu"; tak to pojmowali „Zachód" Leo, Federowicz, Sare i Gross: „Es muss so schön sein wie in Mährisch Ostrau". „Pardubitz an der Weichsel". „Ein zweites Ollmütz"... tak mógł już mówić o Krakowie przeniesiony tu z Gracu excellenz feldzeigmeister Svetozar Pinda of Jobbahaza. I nic dziwnego i niespodziewanego, że gdy po-

tem wojna europejska wybuchła, w jednem tylko, w jedynem mieście polskiem w Krakowie wybuchł spontanicznie furor wojenny solidaryzujący się w objawach, kierunkach i flagach z furor teutonicus, jaki wybuchł w Berlinie. Jakież to syzyfowe trudy mieli rzetelni niepodległościowcy z Królestwa i z Wschodniej Galicji, aby tłómaczyć i eksplikować politykierom pokrakowskim, że oni chcą walczyć ale nie za „greather Austria", nie dla przysporzenia Franz Josephowi jeszcze jednej korony... Jagiellońskiej. Do jakich rekordów dochodził serwilizm krakowskich prominents wobec Armee-Ober-Kommando, jenerałów austrjackich, węgierskich i pruskich o tem pióro wprost wzdraga się pisać. Jak to oprowadzał po Wawelu Jerzy Mycielski pruskich sztabowców, jak działała K-Stelle pod komendą S. Hallera a potem Grimma, jak owacyjnie witano trąbiący Zygfryda samochód Wilhelma, jak to Jacek Malczewski spacerował obwieszony sztucznemi pruskiemi orderami i rozmawiał tylko po niemiecku, jak to pielgrzymowali do głównej kwatery dziennikarze z Toniem Beaupriem na czele, jak denuncjowano „russofilów" i „pansławistów" lwowskich i warszawskich, jak radowano się, kiedy marynarce austrjackiej udało się zatopić francuską łódź podwodną „Curie", jak usprawiedliwiano okrucieństwa belgijskie i zatopienie Lusitanji, jak szydzono z „szowinistów" francuskich, jak cytowano z nabożeństwem wszystkie bożyszcza pangermanizmu, jak insynuowano (w Czasie), że autorzy „Pręgierza" lub „Szopki" są przekupieni przez rosyjski fundusz „Czarnego Orła", jak i czem straszono Warszawskie „Koło Międzypartyjne", jakie złote góry obiecywano po 5-ym listopada, jakie świstki agitacyjne o Karolu Stefanie rozrzucano po „zdobytej" Kongresówce, jak na konwentyklach krakowskich łamano opór warszawskich nieprzejednańców i „fantastów", jak kpiono z warszawskiego domagania się „gwarancji realnych", jak pogardliwie traktowano lub przemilczano całą Wielkopolskę, jak zapisywano się masowo na austrjacką pożyczkę wojenną, jak przekonywano Hardena, że Galicjanie są „Treue Untherthanen", jak rywalizowały w monarchicznych afektach „Czas" z „Naprzodem" o tem wszystkiem na razie milczy historja, ale wszystko to wcześniej czy później będzie na jaw wyciągnięte.

Kraków polityczny, t.j. miarodajna reprezentująca inteligencja krakowska czasów wojny, skompromitowała się doszczętnie.



Ucieczka. A. Pronaszko.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Takie pisma jak Czas, Reforma i Naprzód powinny były być w listopadzie r. 1918 zamknięte, opieczętowane a ich publicyści pociągnięci do odpowiedzialności i przykładnie ukarani jak ich koledzy w Belgji i Bułgarji. Cały szereg działaczy zbyt prononsowanych winien był iść na jakiś czas przynajmniej, dla demonstracji pod klucz, archiwa zaś K-Stelle i N. K. N-u skonfiskowane i przewiezione do Warszawy, poczem tutaj „zperlustrowane" razem z archiwum księcia Oettingena. Tymczasem stało się wprost przeciwnie. Na archiwach i tajnym materjale dowodowym krakowskim położyli ręce generał Roja i dyrektor policji Krupiński, poczem archiwa to znikły a zniemi znikły papiery kompromitujące kilkaset znakomitości i dygnitarzy dzisiejszej Polski; Krakowianin zaś Wróblewski, obecny ambasador nasz w Londynie a za okupacji adlatus i konfident Beselera, w krytycznych dniach 13 i 14 listopada z 1918 pozwolił wbrew oporowi szefa sekcji Sienkiewicza (poległego w sierpniu r. 1920) na szybkie przewiezienie 12 pak z archiwum do Berlina, uznawszy je za „nietykalną" własność ambasady pruskiej. Dzięki tej „nietykalności" cały szereg osobistości, które powinny były zniknąć z horyzontu nie tylko cieszą się „nietykalnością", ale w „rozbudowie" Polski odgrywają nadal rolę dominującą...

Z tych i wie u innych racji Kraków polityczny powinien być potulny i skromny a właściwie poprostu zlikwidowany i to definitywnie. Tymczasem tak nie jest. Jak złodziej uciekający często ratuje się krzykiem: „łapaj złodzieja", tak Kraków polityczny, Kraków „Czasu", „Naprzodu" i N. K. N. ośmiela się czelnie pouczać jeszcze resztę Polski patrjotyzmu i kunsztu rządzenia, inspirować swoich ludzi porozmieszczanych na ciepłych miejsceczkach po całej Polsce, dyktować swoją wolę przy obsadzaniu ministerstw i ambasad, wywyższać się swoją rutyną i doświadczeniem parlamentarnem, wpływać rozmaitemi to czerwonemi to „białogwardyjskiemi" kanalikami na Belweder, wreszcie z pomocą swojej ekspozytury w Sejmie bractwa K. P. K odgrywać nawet rolę wytrawnego mentora i języczka u wagi. Do klubu tego łykowato kołtuńskiego należą pp.: Stesłowicz, Loewenstejn, Starowiejski, Baworowski, Rauch, Kolischer, Jabłoński, Galik, Abrahamowicz, Klecki, Federowicz i jacyś tam jeszcze. O wytrawności tego zespołu miernot i strachajłów politycznych może świadczyć choćby

pierwszy lepszy dokument z brzegu, np. depesza jego prezesa po zwycięstwie Kijowskiem, wysłana do Piłsudskiego:

„Oszołomiony szczęściem, pełen dumy dla imienia polskiego, pragnę tą drogą złożyć na ręce Naczelnego Wodza wyrazy najwyższego podziwu dla sławy i chwały oręża polskiego. Cześć Naczelnemu Wodzowi i Naczelnikowi Państwa, cześć bohaterom. *Poseł Jerzy Baworowski.*“

Jeżeli „prezes“ klubu tak łatwo się „oszałamia“, to cóż potem dziwić się, że i reszta klubu oszałamia się każdym sukcesem każdej siły, każdym gestem każdej większości i raz po razu pada plackiem to przed P. P. S. to przed Brylem, Ratajem, Grzędzielskim i Smołą, zawsze niby pełna „umiarkowania“, „rezerwy“... tj kompromisowości, ugodowości i oportunizmu. Klub ten składa się w części z Kohnserwatystów a w części z demokratów „aus dem dunkelsten Galizien“. Taktyka jego jest może nie koszerna ale koliszerna, a co czyni jest Tarnowskie bardzo Tarnowskie, w rezultacie: „Schall und Rauch“. Kapkami temi komenderuje przez telefon redakcja Czasu i ona to od czasu do czasu kiedy „periculum in mora“ a „la patrie en danger“, nastaje trzydzieste przesilenie ministerjalne przy kompletnym braku właśnie sił i głów ministerjalnych, wysyła czy wypycha tę dwunastkę „straży pożarnej“ na widownię, aby zażegnywali niebezpieczeństwo, uspakajali wzburzone żywioły, koili rozbuchane namiętności i swoją „powagą“ i „autorytetem“ doświadczonych mężów stanu ratowali sytuację. Kapeczki krakowskie uważają siebie za małą ale ważką skupinę mężów o angielskiej kulturze parlamentarnej za neo-torysów czy staroliberałów, za polską parafrazę braci Cecilów, Asquithów, Greyów, Montagnich. Jestto ich najdroższe, najukochańsze złudzenie życiowe. Jeżeli jest w nich tymczasem coś angielskiego, to li tylko zamiłowanie do befsteacku, rostbeufu i porteru lub tu i owdzie zabłąkana angielska choroba kończyn. Jeżeli dumni są ze swego „umiarkowania“, (zdolności do chronicznych kompromisów), to umiarkowanie, to ogranicza się tylko do umiarkowanej odwagi i kultury politycznej. Nieuleczelni prowincjonaliści mają za styl angielski starowiedeńskie metody: „schwamm drüber“, „fortwursteln“, „vom Fall zu Fall“ i starogalicyjskie: „fuszerować lecz tuszować“.

Określił ten styl polityczny jeszcze podczas okupacyjnych lat jeden z dziennikarzy niemieckich definiując, że: „Die Polen sind frech und die Galizianer biegsam“.

W sejmowych kombinacjach, paktach, „macherkach“ i intrygach odgrywają pewną rolę „biegsame Kraukauer“, ponieważ posłowie małopolscy wogóle odgrywają tu dzięki swemu wieloletniemu wyrobieniu, tupetowi i praktyce sejmowania, dalej dzięki baraniej potulności Królewiaków i odseparowaniu się zdegradowanych do roli „minderwärtige Polen“ Wielkopolan rolę dominującą jak równie wogóle w całem życiu Polski „rozbudowywanej“. Małopolanie wogóle wodzą rej i prym, grając we wszystkich kapelach na wszystkich pierwszych skrzypcach. Powstał z tej racji nawet może zbyt ostry koncept, że Polska dzisiejsza jest formalnie „okupowaną“ przez Galicjan i to głównie Krakowskiego pomazania i Krakowskiego typu. Jest w tem przesada, ale jest i 80% prawdy. Warszawa w ostatnich latach ani się spostrzegła w swej przysłowiowej „lekkomyślności“ jak poszła pod hegemonję Krakauerów i tych Małopolan, których w Krakowie opatentowano jako godnych zaufania i niezarażonych lwowskiem endectwem. Nie należy tego rozumieć w sensie fałszywym, w sensie podsycenia antagonizmów dzielnicowych, przed czem zawsze tak pięknie przestrzegają Krakauery, ilekroć jakiejś tek lub posady nie dostaje ich człowiek i faworyt i o ile ktoś zwróci śmielej uwagę na C. K. Krakowską wielgomanję, zachłanność i wilczy apetyt na profitywne placówki. Desarmement des haines między zaborowych jest konieczne i nieodzowne między dzielnicami ale nie trzeba z tego wyłączać Wielkopolski i nie trzeba tej zasady wybijać tylko na benefis nieporadnej ekonomicznie, dziedzicznie biurokratycznej i kancelaryjskiej wyłącznie inteligencji małopolskiej a dużo o sobie myślącej. Tymczasem doszło już do tego, że już przy obsadzaniu ambasad, ministerjów, prezesur, w szeregu wymarzonych kandydatów wymienia się wyłącznie tylko Małopolaków, podejrzywając wszystkich innych o endectwo, o „domowe wykształcenie“, o „antysemityzm“, o utajone moskalofilstwo i t. p. Obrotne Krakauery i Małopolacy krakowskiego koloru i autoramentu zdołali w kilka lat tak sprytnie i chytrze zahypnotyzować resztę Polski, że obecnie niewiara do „tutejszych“, do Wielkopolan, do Pomorzan, do Kresowców przepoiła już

wszystkich. Trzeciorzędny inteligent galicyjski z „doktoratem“, kopertowy hrabia, lichy belfer gimnazjalny, marny komisarzyna z c. k. starostwa, statysta i pionek sejmowy z Bloku Namiestnikowskiego łatwiej i bez ceregieli dostanie tu tekę, ambasadę, portfel, leaderstwo, dyrektorjat, dyktaturę od każdego dzielnicowego autochtona nie mówiąc już o „beotach“ i „prusakach“ z Wielkopolski lub „niepoczytalnych“ kresowcach. Polska ani się spostrzegła jak poszła pod regiment Krakauerów w sejmie, w ministerjach, w administracji, w finansach, w wojskowości, w sztabie, w prasie dzięki temu, że wielu z nich, bardzo wielu zainstalowało się tu już zaraz na drugi dzień po wejściu pruskich bataljonów a potem ciągnęło za sobą na sznurach krewniaków i przyjaciół. Przyszli i osiedli tu i ludzie godni i ludzie bezwzględnie potrzebni i ludzie bez których literalnie nie można sobie wyobrazić organizowania państwowego aparatu, ale przywędrowało też i to co Anglik nazywa scum of the carth, po wideńsku „bagage“, szumowina karjerowiczów, korupcjonistów, żulików, batiarów, łazików czasami nawet w bardzo piękne mundury ustrojonych. Stolica Polski w otwarte ramiona przyjęła Rozwadowskich, Łatiników, Bojków, Romerów, Sikorskich, także Steczkowskich, Bilińskich, Abrahamowiczów Halbanów, Wyrostków i tylu tylu innych na wszystkich polach we wszystkich dykasterjach, na wszystkich katedrach, ale nie trzeba zapominać, że z dobrodziejstwem przyjęła też i inwentarz rozmaitych Bazylewskich, Klemensiewiczów, Stapińskich, Dąbalów, Okoniów, Boruszczaków, Mitsckków, Włochów oraz całe zgraje Gagatków, Kanarków, grandziarzy, gryndérów, szwindlerów i t. p. intendanckich, przemysłowych, prasowych, sejmowych, ministerjalnych. Czy dawna Kongresówka, Kresy i Pomorze mają tak zdrowy żołądek, że to wszystko zasymilują i przetrawią bez nabawienia się chronicznego kataru, to jeszcze kwestja. Nie ulega natomiast kwestji, że Krakauery i Małopolacy wyznania krakowskiego zyskawszy sobie poparcie i protekcję nowych żywiołów państwo-twórczych, dzięki systematycznym koncessjom i ustępstwom to na rzecz wszechwładctwa ludu, to na benefis krajowych cudzoziemców zdołali w krótkich „abcugach“ czasu opanować kajutę kapitańską, ster, kasę, bocianie gniazdo, aprowizację okrętu i oni kierują nawą polską dzieląc się władzą w drodze łaski z Belwede-

rem. Reszta Polaków to załoga z majtków i murzynów, to wszystko endeki z domowem wykształceniem, nie cywilozowane barbarzyńcy, prusaki, targowiczanie, panslawiści.

Nie poruszałoby się już teraz tej sprawy i nie wytaczało formalnego j'acusse, zresztą rezerwując sobie jeszcze dalszą akcję w tym kierunku na później, gdyby nie jedna okoliczność. Otóż za kilkakrotnym w ostatnim roku pobytem w Krakowie miałem sposobność kilkakrotnie przekonać się, że w tem mieście, które właściwie zasłużyło na polityczną kwarantannę i kilkoletnią ścisłą izolację obostrzoną umiarkowanym bojkotem szerzy się nie sporadycznie ale nagminnie jakaś nie już niechęć ale nienawiść do Warszawy, Od góry do dołu, od komicznej parafjalnej arystokracji aż do posłańców i dryndziarzy wszystko strzępi sobie buzie i gęby utyskiwaniem i urąganiem na Warszawę. Zaobserwował to zresztą i we Lwowie, Jerzy Bandrowski kochany Tersytes w fejletonie Gazety Wieczornej, gdzie polemizuje ze mną (Kontakt z Warszawą ur. 5838). Najulubieńszym, najpopularniejszym, tematem garsonów z rynsztokowej żółtej prasy, której popularność jest tak symptomatyczną dla intelektualnej i moralnej degryngolady Krakowa jest wydziwianie i „psioczenie“ na Warszawę w stylu tak plugawym, ordynarnym i kanalskim, o jakim w Warszawie niema się nawet wyobrażenia. Specyficzny proceder z tego zaszczekiwania się na Marję z Magdali miast polskich, na miasto, które ze wszystkich miast europejskich ma najbardziej martyrologiczną kronikę, uczyniło sobie pismo w rodzaju Arizona-Kiker, pismo w manierze humoreski Marka Twaina prowadzone przez potentata Krakowskiego niejakiego M. Dąbrowskiego. Jegomość ten podjął lutnię po Bekwarkach Bandrowskim i Brejterze i biorąc w obroty kolejno cały szereg osobistości podczas wojny dorobił się z pomocą żydowskich przyjaciół Kleinbergerów, Wejnstejnów i t. p. olbrzymiej fortuny, która pozwoliła mu postawić Teatr Prywatny i rozszerzyć swoje etablissement dziennikarskie (Kurjer Illustrowany) do rozmiarów wiedeńskiego fiakierblattu. Jest w tym wyjątkowo rozkwitłym egzemplarzu dzisiejszej flory krakauerskiej coś z Cecil-Rhodesa, coś z paryskiego Varilli tylko w niewypowiedzianie trywialnym guście; sylweta zewnętrzna bliźniaczo brzuszkiem kapitalistycznym podobna do jednego z naszych

fryzjerów opinji publicznej, poziom znacznie niższy, wprost suterenno-sutenerski.

Z dwóch tego stylu dziennikarzy krakowskich jeden konkurent Z. Rosner („Gazeta Poniedziałkowa“) potknął się i zwichnął sobie karjerę, drugi pływa szczęśliwie na tafli bagna i jest luminarzem powojennego Krakowa. Na pożyczkę wojenną austryjacką zapisał się jedyny z dziennikarzy krakowskich i długi czas entuzjazmował dla Mitteleuropy (17 sierpnia 1917), poczem przeszedł do Ententystów i handlował opozycją. Dziś ten szmok obskurny a opulentny trzęsie opinją krakowską i wynajmując gryzipiórów wstydzących się żebrać, każe im zwęszywszy, co kanalję aktualnie przyjemnie łechce, wylewać codzień pomyje na Warszawę. Otóż tego pokroju handlarz żywej bibuły drukowanej nie tolerowałby tego posmaku ujadań, gdyby nie wiedział że taki towar będzie w mig rozkupywany. W monitorze ilustrowanym rozczytuje się i t. z. inteligencja krakowska, konwersująca od rana do nocy o wstrętnej Warszawie, o jej korrupcji, o kretynizmie, o niekompetencji, o lekkomyślności, o roztańczeniu, o rozpaskowaniu, o egoizmie Warszawy.

Skąd ta nienawiść? skąd ten stadowy obłęd parafjalny? skąd to nikczemne, niecne, podskórne uczucie do metropolji, która z taką dobrocią, tkliwością i wielkopańską gościnnością przygarnęła do siebie setki, krocie waszej wybladłej, wymizerowanej, niedokarmionej i skrofulicznej inteligencji, obsadziła nimi setki i tysiące posad, otwarła im wszystkie drzwi, posadziła przy wszystkich biurkach! Pisarzowi, który ma nawet dość wielki magazyn słowny brak epitetów do napiętnowania, do wypalenia na karkach słów tego oburzenia, jakie się rodzi gdy słyszy schrypnięty pomruk nienawiści w czerni krakauerskiej, bluźniącej czelnie przeciw miastu, którego każdy kamień uliczny uszlachcony był krwią bohaterów, które w jednym, jedynym roku 63-cim czy dziewięćset szóstym więcej wydało męczenników za sprawę niepodległości niż Kraków przez stopięćdziesiąt lat swej wygodnej, niemrawej, bezsławnej, marnej, filisterskiej biurokrackiej wegetacji! Skąd, jakiem prawem quo titulo może się rodzić w tych wielkodusznie przez resztę Polski ułaskawionych skazańcach historji ta dzika, tępa nienawiść do miasta, które czasu wojny europejskiej swą niezłomną, nieugiętą postawą wobec pangermańskich okupantów uratowało



Aktor. R. Witkowski.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

nasz łos i naszą opinję u zwycięskiej Ententy wtedy, kiedy królewski Kraków lizał buty honwedów i giął się przed kaskiem każdego feldfebla z pułku Deutschmejstrów!? Jak miedziane czoło i jak pasersko-paskarską duszę musi mieć taki kurjerkowy pokrakowiak, kiedy czyta w swym rozchodzącym się masowo „Matinie“ ustawiczne plugawienię Warszawy, tej Warszawy która tylu chudeuszom, hołyszom, gryzipalcom i skrobipiórom z nad Rudawy, z Kleparza, z Krowodrży i małych dziur Zachodniej Galicji dała chleb, dach nad łbem, szlify, rangi, samochody, ordery, która przebaczyła wielkodusznie a nieopatrznie płaszczenie się i tarzanie przed pangermanizmem, przebaczyła tyloletnie Judaszowskie kuszenia i okryła tę wyrodną dziatwę szeroko swojemi białemi skrwawionemi skrzydłami. Wy mówicie często pokrakowiaki dumnie: nasz jest Piłsudski! Myśmy wam odkryli Piłsudskiego. Myśmy się pierwsi poznali na Piłsudskim. A wiecież wy pokurcza i pośmieciuchy mało miejskie i mało polskie, co o tej Warszawie właśnie mówił 20 maja 1921 r. wasz (?) Piłsudski?

„Warszawa zawsze dawała hasła do wyjścia z upokorzenia niewoli. Nie gdzieindziej, jak w Warszawie, rozpoczęła swe życie wolna Polska. Nie gdzieindziej tworzyć się poczęła Armja Polska, której Warszawa szła zawsze z pomocą. Gdy przyszły na nią ciężkie chwile — połowa zasługi jej obrony spada na obywateli stolicy, którzy umieli wrażliwość swą i nerwy utrzymać na wodzy tak, że żołnierz mógł spełnić swój obowiązek. W takich warunkach każdy żołnierz staje się współobywatelem, każdy obywatel współżołnierzem. Jako najstarszy żołnierz Polski nowoczesnej wznoszę okrzyk: niech żyje Warszawa!“

Więc nie 6 sierpnia 1914 r., nie w waszych Oleandrach i nie w Krakowie „poczęła się tworzyć armja polska“ nie sub auspiciis imperatoris feldmarszałka Fryderyka ale tu w Warszawie. „Nie gdzieindziej słyszeli!“

Nienawiść do Warszawy gawiedź galicyjsko - krakauerska rozszerza i na Królestwo całe i na Wielkopolskę. W brukowcach i rynsztokerach, pochłanianych przez mob tamtejszy ustawicznie powraca naganka na abderytyzm i na separatyzm Wielkopolski. Już 11 tysięcy Małopolaków dostało w dawnym pruskim zaborze posadki i miejsca i jeszcze im mało! jeszcze nie dość! Ulubionym lajkonikiem krakauerskich rewolwerow-

ców jest kpienie na funty z potocznego języka i gwary wielkopolskiej. Z satysfakcją raz po raz powtarzają i przedrukowują znany już anons anegdotyczny: „Panna z interesem w zupełnym porządku poszukuje na męża solidnego kupca dla rozszerzenia tegoż, przyczem nobliwość i fotografja wymagane“. Nie znają atoli kwiatków z własnej galicyjskiej grzędy językowej w guście takiego np. „kawałka“ autentycznego, który poniżej przytaczam.

Urząd galicyjski przesyła do Centrali warszawskiej list następujący:

„Zważywszy, że przydzielony służbowo do tutejszego działu I kawałek (liczba koszulki) w przedmiocie wypośrodkowania odnośnego konceptu poborów emerytalnych, przynależnych p. N. N. przekracza permanentną kompetencję wyżej wzmiankowanego działu I, takowy przesyła się do dalszego urzędowania Działu III. Przytem tutejszy dział I czyni tamtejszy dział I uważnym na to, że po należytym uczynieniu wglądu w treść, będącego w mowie kawałka i po wystosowaniu konceptu i czystopisu, należy takowy po przyłożeniu odnośnych stampilji wydziału, działu i podziału, przedłożyć do ratyfikacji szefowi wydziału, nadzorcy. Następnie zaś do dalszych ratyfikacji według pragmatyki służbowej gradacji.

Odpis zaś przedłożyć do exhibitu celem uwiadomienia strony o zaszłej permutacji. Referent, Koncypient, Manipulant, Protokulant“.

To jest i tak brzmi polszczyzna Krakauerów brylujących tu swem uniwersyteckiem niedokształceniem.

Jakiem prawem tedy ex germanofilska i ex germańsko-morawsko-czesko-ślązacka inteligencja mieszańcza krakauerska ośmiela się jeszcze wydziwiać i podkpiwać sobie z szorstko na gwałt tłómaczonego wprost z niemczyzny języka dzielnych, uczciwych, honorowych, ofiarnych, skrupulatnych, dyscyplinowanych, punktualnych, realnie i pozytywnie patrjotycznych Wielkopolan, jeżeli sama zalawszy Królestwo lawą swej biurokracji i politykerji, od dwóch czy czterech lat plugawi i zanieczyszcza wiedeńskiemi latinizmami i wiedeńskim barokiem Teresiansko - Józefińskim nasz język urzędowy, państwowy i oficjalny?

Wogóle zaś i język, jakim przemawia z mentorska krakauerska Galicja do reszty Polski jest nadal nie do zniesienia.

Opanowawszy jeszcze za asystencji Beselera i pod ochroną pruskich bataljonów świeżo z kiepskiego materjału montowaną maszynę państwową pozwala sobie Krakauerska Galicja nadal uważać resztę Polski za „małoletnią“, „niemowlęcą“, za „minderwärtig“, za upośledzoną na umyśle. Oni terminowali w parlamencie austrjackim, oni mają pięćdziesięcioletnią praktykę sejmową, oni nam dali Witosa, Daszyńskiego, Steczkowskiego, Bilińskiego, Szeptyckiego, Biesiadeckiego, Rydza Śmigłego, Rosnera, Trzaskiego Durskiego, oni nas obdarzyli pierwszymi anarchistami w Sejmie Dąbalem, Okoniem i Stapińskim, pierwszym komunistą Łańcuckim, dalej Klemensiewiczem i Moraczewskim, Pużakiem i Boruszczakiem, Liebermanem i Diamandem, kilkoma Skrzyńskimi, kilkoma Dębskimi, kilkoma Dąbskimi, kilkoma Wróblewskimi, oni nam podyktowali mądrą ordynację wyborczą (Moraczewski) ergo oni są predestynowani do rządzenia Polską. „Rządziliśmy Galicją damy sobie rady i z Polską”. Czy atoli rezultaty autonomicznego administrowania Głodomerją były tak zachęcające, aby to zniewalało resztę Polski do baranio-potulnej uległości i poddania się supremacji krakauerskich Galicjanderów? Czyż ta prowincja nie była klasycznym wzorem korrupcji i gangreny politycznej? egoizmu klasowego, przekupstwa i defraudacji? analfabetyzmu i masowej emigracji, nepotyzmu i indolencji? Swemu ukochanemu Widniowi umieli dać Dunajewskiego (zresztą rodem z Ukrainy!) i Gołuchowskiego (rodem z Wielkopolski), ale co dotychczas dali Warszawie? Dufni w to, że przynoszą Polsce w posagu: naftę, sól, węgiel, potas, ałun, mangan, oleje skalne i t. p. bogactwa mineralne, zresztą fatalnie nie wyzyskane lub w pruskie ręce zaprzepaszczone, co jeszcze przynieśli nam w spadku? Oto dwie najboleśniejsze wady wątłego organizmu polskiego: zapiekłą nienawiść Rusinów i zajadły konflikt graniczny z Czechami. Pierwszy defekt będzie nam ciężko dolegał w przyszłości. Dzięki drugiemu, nienawidzi nas cała Słowiańszczyzna, dzięki drugiemu czuje do nas obrzydzenie polityczny Albion (wprost rozmiłowany w szkockich Czechach), dzięki drugiemu nie ufa nam Bukareszt, dzięki drugiemu tracimy Górny Śląsk. Tego nie należy dziś zatajać.

Gdyby nie podsycana przez krakauerską Galicję, a głównie krakauerskich pepeesów (ale i klerykałów) nienawiść do Cze-

chów (to „małomieszczańskich“, to „husyckich“), gdyby nie ten przeklęty spór o graniczne strzępy terytorjalne Cieszyna, Czaczy, Orawy i Spiszu, dziś w naszych słusznych pretensjach do Górnego Śląska mielibyśmy moralne i faktyczne poparcie całego narodu czeskiego i odstępując im raciborskie powiaty zostalibyśmy posiedzicielami ex-prusko-żydowskiego zagłębia węglowego. Całą dzisiejszą naszą sytuację, całą izolację, podział Górnego Śląska i mizerność ochłapu jaki nam z łaski przydzielają zawdzięcza Polska tylko i wyłącznie zatrutym germańską ideologją impulsom politycznym idącym z krakauerskiej Zachodniej Galicji. Za całe rozjadzenie konfliktu Cieszyńskiego i za wykopanie przepaści między dwoma bratniemi narodami, za niedojście do modus-vivendi z tym jedynym choćby sąsiadem, co nam tak za złe wzięła cała Europa nam przyjazna, odpowiedzialność spada wyłącznie na politykierów krakauerskich i ich prasę. Brzydki napad Czechów na Cieszyn, sprowokowany moralnie był tem że tempore belli p. Daszyński wyraził w Pradze posłom socjalistycznym swoje w imieniu P. P. S. desinteressement w sprawie tego terytorjum; nie spodziewały się więc Prediczki, że po listopadzie r. 1918 partja, która się tak ochotnie zrzekała wszystkiego na Zachodzie, będzie teraz dla poprawienia sobie opinji, tak aktywnie „patrjotyczną“ na tym właśnie punkcie i że się właśnie tak rozegzaltuje do Czaczy i Orawy...

Przez cały czas wojny europejskiej konsekwentnie w myśl instrukcji berlińskich fascynowali opinję polską mirażami wschodniemi: Litwą, Białorusią, Ukrainą, byle tylko nie drażnić mitteleuropejczyków pretensjami do „zaboru“ na Zachodzie. Eskpanzja imperjalistyczna na Wschodzie, a dać za wygrane na Zachodzie, tak brzmiała dyrektywa berlińska. Pełne tej trucizny były „Polnische Blätter“, „Polen“, Czas, Naprzód, Wiadomości Polskie“ i wydawnictwa N. K. N. Wyprzeć się Wielkopolski i Pomorza, nie pisnąć nawet o Górnym Śląsku a wzamian za to dostaniemy Litwę, Białoruś „Połągę“ (za Gdańsk) może nawet... Libawę. To nam sugerowali Naumann i Gotthein, to powtarzali w niezliczonych warjantach wszyscy germanofile a praecipue krakauerskie Metternichy z tych niezamiatanych śmierdzących, zażydziałych uliczek. Reżyserzy z konserwy krakowskiej zdołały tem zamistyfikować „niepodległościowców“. Dziś zbieramy tego owoce. W Pokrakowie rezydo-

wał „komitet słowackiej niepodległości“, w Krakowie zainstalowali się intryganci madziarońscy, z Pokrakowa szła „mądra idea“ spólnej granicy z Węgrami, restytucji apostolskiego, królestwa węgierskiego, sojuszu z Węgrami na złość Czechom, na przekór Jugosłowianom i Rumunom. Teraz zbieramy plon. W mózgach krakauerskich galicjanderów wylęgła się „genialna myśl“ przyjaźni z Bułgarami, „zielonej międzynarodówki“, zakopańskiego flirtu Stambulijskiego z Witosem, w rezultacie zero, nieufność Rumunji, nienawiść Serbów, zniechęcenie Węgrów, furja Czechów. Teraz dopiero obliczamy z tego nasz deficyt. Krakauerskim Galicjanderom nie konweniował korytarz czeski „podwiązujący“ Polskę od Południa bo odcinał Tarnowskich od krewnych Esterhazych, miljonera wojennego, paskującego na winie Federowicza od jego Paluquya, c. Kraków od jego „macierzy“ wiedeńskiej i rozkoszy Sachera, Puchera, Ronachera. Przedewszystkiem zaś odcinał od Wiednia jednego z najtypowszych krakauerskich kapitanów przemysłu politycznego niejakiego barona Roggiera di Battaglia, postać nieco z dramatów Wedekinda a nieco z Lombrosa. Ten macher i szyber na wielką skalę, związany z wiedeńskiemi bankami i z żydami tysiącem węzłów paskowych, ten rekin giełdziarski i potentat naftowy, współwłaściciel trzech gazetek (Gońca, Kurjera Illustr. i Gazety Wieczornej we Lwowie) działając na benefis i wedle inspiracji wiedeńskich banków, fabrykantów i kupców instygował w tej prasie systematyczne judzenie i szczucie na Czechów. Temu miljonerowi wojennemu, jego rozjazdom, intrygom, dyrektywom, telegramom szacherkom zawdzięcza Polska tę przepaść wzajemnej animozji jaką rozkopała prasa krakauerska między nami a Czechami a co za tem idzie pośrednio nie wejście Polski do Ententilli, mstliwą agitację i konszachty Czechów z Zachodnimi Ukraińcami, wiszący nad Lwowem miecz Damoklesa i brak poparcia nas przez Czechów w tragedji górnośląskiej. Ale nie tylko temu „baronowi“ ze sztuki Wedekinda... Zbogacona potwornie na wojnie żydowska plutokracja galicjańska i, żydowscy „ziemianie“ liczne obrzezane obszarniki z Wschodniej Galicji lamentowały, że jadąc na swój Semering, do Abbazji lub nad jezioro Garda muszą brać paszporty i przejeżdżać przez wstrętne państwo „panslawistów“, którzy organicznie nienawidzeni są przez polskie żydostwo za to, że mimo swego postępu, libe-

ralizmu i wolnomyślności umieli sobie dać rady z żydostwem nie aranżując nawet pogromów, tych pogromów, których nawiasem mówiąc chronologicznie pierwszy przykład dał zresztą intelektualnie, moralnie i ekonomicznie kompletnie już zżydziały Kraków. Stąd „orjentacja węgierska“ Krakowa, „Polak Węgier dwa bratanki“, wizyty i rewizyty germanofilów z tej strony Tatr z germanofilami z tamtej strony, toasty i afekty Tokajowe, intrygi szulera karcianego i politycznego, grofa Csekonitsa, kretyniczny pomysł „niezależnego państwa słowackiego“, a w rezultacie szycie nam butów i dyskredytowanie nas kompletne przez może mściwych i przebiegłych, może nieapetytnych i niezgrabnych, ale o ileż w Europie dziś bardziej estymowanych i szanowanych Czechów! szycie butów i psucie naszej opinji w Londynie i w Rzymie, t. j. w tych stolicach, których opinja o nas tak zawsze, zawsze boleśnie zaciężyła na rozstrzyganiu sprawy górnośląskiej.

Krakauerska zachodnia Galicja narzucała Polsce złowrogie, szkodliwe i destrukcyjne idee polityczne tak, jak destrukcjonistami no i destruktami swoimi zapełniła Sejm, dyplomację prasę, stronnictwa. Obywatele Okoń, Pużak, Dąbal, Łańcucki, Drobner Klemensiewicz, Stapiński, Bryl, dziennikarze tego stylu co Smółka lub dziś już dyskretnie schowany dr. Włoch (obaj z Kurjera Porannego) Bazylewski i tp. rozlokowane w „Pacie“ i po ministerjach to wszystko „dobrodziejstwo inwentarza“ jakie przypadło na nas wraz z genjalnymi w każdym celu architektami „rozbudowy“. Uogólniać oczywiście nie należy. Jeżeli mowa o elemencie biurokratycznym to tak w ministerjach, w sądach, w profesurze, w administracji, w wojskowości, w organizacji wiele nabytków stamtąd jest pierwszej klasy, niezbędnych i niezastąpionych, szczególnie z prowincji galicyjskiej, ze Lwowa, ba nawet z „Widnia“. Ale przesadzać w tem także oczywiście nie należy. Jeżeli Kraków polityczny zadzierając nosa nad Betoami wielkopolskimi (których zrzekał się wielkodusznie podczas wojny, a których po wojnie udało mu się „wyobcować“ z Warszawy), argumentując w swojej obronie wydziwia nad takimi np. nieudałymi „z domowem wykształceniem“ ministrami jak pp.: Englich, Hącia, Karpiński, to zapytujemy się jak to poprawili nam finanse pp. Biliński i Steczkowski? tj. dwa tuzy galicyjskie, przyjęte przez najzacięciej en-

decką prasę z pełną lojalności rezerwą, ciepłą grzecznością i spokojnem wyczekiwaniem, dwa finansowe autorytety, które tempore belli najdalej prononsowały się w germanofilstwie. Któryż z nich okazał się dla niepodległej Polski Dunajewskim (Ukraińcem) czy choćby tylko Korytowskim (Wielkopolaninem).

Taki echt szöngeist krakowski i pflanca z oranżerji Czasu hrabia H. Morsztyn (za okupacji Morstin) zdołał na wiosnę r. 1918 wydrukować w „Wiadomościach" wiersz obelżywy na Francję, a w zimie tegoż roku już być na audjencji u Focha. „Die Krakauer sind biegsam". „Królewiacy" z domowem wykształceniem" padali gęsto na polach bitew a na nekrologach poległych wzrósł w famę i autorytet krakauer Kaden - Bandrowski. Niepodległościowcy z „barbarzyńskiej Kongresówki" biorąc wszystko na serjo ginęli od kul a tymczasem z bogatemi żydówkami warszawskiemi żenią się realnie i „postępowo" edukowani porucznicy z bokobródkami ala książę Pepi z małych miasteczek zachodnio-galilejskich. Prasa krakauerska pisała i pisze dużo o „zarażeniu się królewiaków łapownictwem Moskali", ale iluż to promenuje po A-B ex-sierżantów, ex-oficerów rachunkowych, ex-kucharzy bataljonowych, którzy z wypraw kijowskich i wileńskich pozbijali po 3 po 5 miljonów marek! Iluż to Kanarkami, Gagatkami i Geldhabami wielkimi i małymi, i to przeważnie z „domowem wykształceniem" obdarowało nas Wielkie Księstwo Krakowskie z przyległościami? Z wdzięcznością wspominamy w Warszawie świetne nazwiska jenerałów Hallera, Latinika, Szeptyckiego, Sikorskiego i jeszcze kilku innych, którzy podczas wojny przeszli tak solidną metamorfozę i z fanatycznych zwolenników Mitteleuropy (powiększonej o Wielką Galicję) przeobrazili się w szczerych frankofilów, ale ileż to czasu trzeba było, ile moralnej presji tych przeklętych Endeków, ile doświadczeń, aby niektórych z nich wyleczyć z austrjackiego światopoglądu. I iluż następnie wcisnęło się za nimi i przez ich protekcję żywiołów niepożądanych, ka-sztellistów i defraudantów do armji polskiej, Jak te żywioły viribus-unitis upornie frondowały przeciw francuskim sztabowcom i instruktorom, jak to szybko wszystko awansowało, jak to świetnie dziś się maskuje, jak to wygodnie po różnych miastach Królestwa jest uplasowane! W jednem z miast większych Kongresówki komendantem jest

np. znany mi kelner od dawnego Słowika w Zakopanem...; w Poznaniu mogłem na własne oczy oglądać na oficjalnem śniadaniu pułkownika sztabu, którego jeszcze z r. 1914 pamiętam jako subjekta w małym żydowskim sklepiku Eilego w Krakowie przy ul. Grodzkiej. Może to całkiem Napoleońskie karjery ale w każdym razie przeważnie tylko małopolskie... Naiwni i „zmoskwiczeni" królewiacy, szczególnie po małych miastach, czasami ani domyślając się, stojąc jako petenci na baczność przed rozmaitymi pułkownikami, niosącymi dziś bardzo sarmackie nazwiska, że ci synowie Marsa byli ongiś synami Merkurego i że przed wojną w Tarnowie, w Wadowicach, w Kętach, w Liszkach, w Bochni, w Chrzanowie sprzedawali za ladą pieprz, roznosili po stołach bomby pilznera... że wielu z nich to ledwie maturzyści, studenci z handlówki krakowskiej, ex-konduktorzy, ex-suplenci gimnazjalni, ex-alskultanci sądowi, którzy gdyby nie wojna, nie wojsko, nie staranne dekowanie się po etapach i nie przezorne transplantowanie się w Kongresówkę, dziś dalej głodowaliby conieco i gryźli palce w obrzydliwych i brudnych dziurach zachodniej Galicji?

Jakiem tedy prawem ma czelność krakauerska prasa plantowa i krakauerski mob kawiarniano-handelkowy wydziwiać na nieporządeczek w Warszawie skoro nie setki, ale tysiące „Krakowiaczków" dziś żyje, tyje, profituje i komenderuje w Kongresówce, na Pomorzu, w Warszawie i skoro ten „nieporządeczek" ten „dyletatyzm" zawdzięczamy w lwiej części napływowi masowemu właśnie tych z uniwersyteckiem krakauerskiem wykształceniem elementów i ele-mętów.

Że zaś ten „dyletatyzm" i ten cały „nieporządeczek" i całe zbałagowanie Sejmu i naszą izolację polityczną w Europie i spadek naszej marki i wszystkie, wszystkie wogóle defekta, mankamenta zawdzięczamy impulsom i instrukcjom politycznego Krakowa, to postaramy się udowodnić.

d. c. n. *ADOLF NOWACZYŃSKI.*



Studjum. W. Wąsowicz.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

DO CZYTELNIKÓW.

Od III-go kwartału zmuszeni jesteśmy podnieść cenę prenumeraty (patrz warunki prenumeraty — str. 358), żeby choć w pewnej części pokryć koszta wydawnictwa.

Jak wiadomo naszym Czytelnikom, nie wydajemy „Placówki“ dla zysków, wszystko ma jednak swoje granice i zbyt wielkie deficyty nie mogą wyjść na korzyść dla pisma.

Powinniśmy byli już podnieść cenę prenumeraty poczynając od kwartału II-go, nadzieje jednak polepszenia się kursu naszej waluty odwiodły nas narazie od tego zamierzenia.

Dziś chyba nie potrzebujemy tłumaczyć, że ceny kalkulowane przed pół rokiem teraz absolutnie nie wytrzymują krytyki, nietylko dzięki angielsko-bolszewickim i niemiecko-żydowskim szantażystom międzynarodowym, obniżającym sztucznie i ze złą wolą markę polską, lecz również dzięki lekkomyślnej gospodarce krajowej i braku poczucia obywatelskiego u chłopa, chciwie magazynującego ładowne fury marek i robotnika, robiącego z potopu marek, płynących do jego kieszeni, taki tylko użytek, jak nierogacizna z kartofli przy pełnem korycie.

Sądząc, że jesteśmy chyba najzupełniej wytłumaczeni z „paskowania“ naszą „Placówką“, nadmieniamy w końcu, że gdy obecnie cena egzemplarza „Placówki“ będzie wynosić „aż“ 60 mk., cena takiejże i w ten sposób wydanej książki w pierwszej lepszej księgarni wynosi „tylko“ Mk. 150!

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY
„PLACÓWKA“.

Przeźrocza.

GRABARZE RODZIMEGO TEATRU.

Zdawałoby się, że w chwili, kiedy naród polski zdobył niepodległość swej społecznej formy, czyli owe marzone pod względem państwowym warunki dla rozwoju narodowej myśli, twórczości, dla wypowiadania swych upodobań wogóle, a tem samem i w sztuce, to zyskał jednocześnie i dla rozwoju własnego teatru warunki najpomyślniejsze.

W istocie jest wręcz odmiennie. Wręcz odmienne stanowisko od stanowiska narodu, opinji naszej publicznej i opinji świata zajęła u nas zawodowa krytyka teatralna. Krytyka ta z małemi wyjątkami obecnie z całą systematycznością popiera rzeczy, importowane z zagranicy, bez względu na ich wartość artystyczną a odwrotnie — z całą stanowczością i również bez względu na wartość artystyczną niszczy wytwórczość naszych dramatopisarzy.

Jeśli na deskach teatralnych ukaże się utwór spółczesnego polskiego dramaturga, krytyka przedewszystkiem odsądza od talentu, od logiki kompozycyjnej dramaturga a potem tych, co się przyczynili do wystawienia sztuki.

Jeśli teatr wystawia utwór dramaturga naszego niespółczesnego („Wielkiego człowieka", „Męża i żonę" Fredry, „Lillę Wenedę", „Fantazego" Słowackiego, „Warszawiankę" Wyspiańskiego), to zostaje wówczas w czambuł potępiony reżyser, dekorator i aktor.

Fijałkowski za „Pana posła" (grano z górą 40 razy), Hertz za „Bez tarczy" (grano około 40 razy, w czem było 20 kompletów), Kozłowski za „Trybunów", Nowaczyński za wznawianą „Cyganerję", Krzywoszewski za „Colombinę" (grano 40 razy), Konczyński za „Powrót wiosny" nawet i za „Marję Leszczyńską" (grano 50 przeszło razy), Kiedrzyński za „Pocałunek wojny", Staff za „Południcę", Rogowicz za „Zatruty zdrój" dostali od oficjalnej dziennikarskiej krytyki takie cięgi, że to im i wielu młodszym, wstępującym na pole dramatopisarstwa napewno nie dodało bodźca do pracy.

Dostali cięgi mimo tego, że publiczność, której opinja jednak w pewnej mierze jest miarodajna, na sztuki te przeważnie uczęszczała chętnie, o czem świadczy to, że większość z tych sztuk musiano powtarzać po 40 razy z rzędu.

Dostali cięgi w tym okresie, kiedy jednocześnie wystawiane i stojące w większości wypadków pod względem wartości artystycznej niżej utwory obcych dramaturgów taż sama krytyka przyjmowała naogół z kurtuazją i chwalbami bezkrytycznemi.

Dochodzi do tego, że kierownictwo miejskich teatrów warszawskich, pragnące nadewszystko popierać rozwój twórczości rodzimej, z przekładów obcych zaś wystawiać jedynie sztuki bezwzględnie wartościowe, podaje się do dymisji, więcej! dochodzi do tego, że bardziej ceniący się aktorzy w obawie przed chłostą grabarskiej krytyki decydują się raczej na występy w „katarynkach", w kociokwikach pambamistów i poezofuturystów, niż w sztuce spółczesnego lub niespółczesnego polskiego autora.

Nie twierdzę bynajmniej, że przytoczone sztuki sceniczne są bez błędów rzemiosła teatralnego, lub że są zakrojonemi na tysiąclecia arcydziełami, lub że wszystkie sądy tych wymierzających sprawiedliwość są pozbawione słuszności. Nie!

Pragnę zwrócić uwagę „ludzi teatru" i czytelników nato, że miast krytyki, której najwyższą myślą, troską jest rozwój teatru i to naszego teatru, posiadamy obecnie świadomych lub nieświadomych grabarzy rodzimego teatru i to bardziej szkodliwych, niż zakazy b. cenzury rosyjskiej, bardziej, bo potępienia cenzury tej nie miały wpływu na wystawienie sztuk dramatopisców z Warszawy w Krakowie, Lwowie, Poznaniu lub zagranicą, a pogłosy groźnych anatem naszych feljetonów teatralnych idą daleko, daleko.

I pragnę zwrócić uwagę tych grabarzy, kopiących grób teatrowi naszemu nato że, przecież oni, krytycy teatralni, oni właśnie — dzięki szczególnemu umiłowaniu teatru, dzięki żmudnie nabywanej wiedzy o nim, dzięki swym specjalnym zdolnościom obserwacyjnym — zostali powołani, jeśli nie na budowniczych, to na współbudowniczych tego teatru.

Rad.

Marginesy filozoficzne.

VII. Empedokles.

W mrokach tysiącoleci rozwidnia się wyspa południa, oblana jasnemi toniami mórz, na niej świątynie, amfiteatry, różowe sady, zielone winnice po szarych usypiskach lawy — a wpośrodku — On, syn rodu wielkiego i bogactw, obrońca rzeczypospolitej i praw ludu, uczony kapłan, filozof, uzdrowiciel, wieszcz — o którym Starożytność mówiła z najwyższem uwielbieniem, którego imię po dziś dzień połyska nieziemskim urokiem.

Zamyślony o rzeczach boskich i ludzkich, o własnościach i dziejach Przyrodzenia, z wyżyn słonecznej Sycylji patrzał na harde skały, na ojczysty „Akragant płowy“, na bezmiar wód, na ogrom falujący powietrzni i na ogień, na ogień z czeluści ziemskich bijący słupami dymu w błękity, straszliwy, groźny trzęsieniami — a pobratymiec górnych błogosławionych świateł.

Nieustraszoną, a zbożną myślą szedł tedy od mnogości do jedni, od przypadku do woli, od pstrocizny do zasady — i oto ujrzał cztery moce Bytu, cztery pierwociny o boskiem obliczu majestatu i nieskończonej, rozmaitości zespoleń. I ujrzał Zeusa — ogień, najwyższy i najgłębszy zarazem, ujrzał Herę — powietrze i Hades — ciemne łono ziemi i Nestis — pluszczące wody; ujrzał ich czworo, jak się godzą w upalnej godzinie zaśnienia i w ciszy nocy gwiaździstej — i jak zwichrzone walczą wściekle niwecząc się wzajem. Aliści nie ślepy traf, nie żelazną konieczność Machiny w tem odkrył—o, zbyt głęboko sięgało uczucie jego! Ujrzał tam duże potęgi o ludzkiem obliczu — Miłość i Niezgodę, co z obwodów ku środkowi, od środka ku obwodom toczyły wiry zjawisk bez końca. A idąc jeszcze głębiej myślą namiętną, odkrywał w całej walce i nieruchomości w ułamkach i ogromach — siebie samego. Wielkie wizje przeszłości i przyszłości nachodziły go. Śnił, że już „niegdyś był młodzieńcem i dziewicą, krzewem i ptakiem i niemą rybą z wodnej głębiny“ — i śnił o złotym wieku Miłości, co przyjdzie — i wędrował wraz z innemi duszami przez labirynty przewcieleń od rośliny do zwierzęcia, od człowieka do gwiazdy — aż hen, ku Temu, co jako nieskończona „Sfera“ obejmuje wszystkie żywioły i bogów i demonów złych i dobrych i ludzkie pokolenia, — ił pierwotny, twórczy, święty — bóstwo!

To znów wpatrzony w nieskończoną harmonję i piękno ciał ludzkich i zwierzęcych, widzi w otchłaniach przeszłości dzikie potwory, oczy bez głów, ramiona bez kadłubów, wizję ubiegłych okresów geologicznych, o których być może kapłaństwo dochowało tradycję i kreśli ewolucję ustrojów. Ten egzegeta Przyrodzenia, ten mędrzec i piewca posiada dłoń uzdrowiciela— budzi śpiące z letargu, zamyka dostęp do miasta powietrzu morowemu, osusza bagna z zarazą... Gdy ukazuje się w Selinuncie obleczon w białą szatę, w złotym djademie na kędziorach — mieszkańcy boską cześć mu oddają i aureola nieziemska go otacza wszędy...

Tajemniczy skon jego, jako i życie: gdy jedni mówią, że cicho zgasł na obczyźnie, drudzy utrzymują, iż stąpił w płomienie Etny, iż miedziany sandał, wyrzucony pędem ognia, świadczył o śmierci w ukochanym żywiole tego, który mówił o sobie: nie człowiek — ci jestem, jam Bóg...

Zaiste, imię jego jest jednem z ogniw, łączących człowieka z bóstwem.

L. Konopacki.

ZE SZTUKI.

FORMIŚCI*).

Rozpryskują się Skamieniellizny!

Dzieło rozumu i woli rodzi się, z Szaleńczych majaczeń, które zdawały się przed 10 laty jakimś bełkotem nikczemnej zgraji, gdy z medjolańskiej kampanili głosiła obu półkulom: Śmierć dawnej formie sztuki i życia!

Wraz z temi hasłami zrodziło się w polskiej sztuce pragnienie kulturalnej samodzielności jasno i silnie się rysujące poprzez zagmatwane i ciemne formy eksperymentów, poszukiwań, błądzeń, kabotynizmu, naśladownictwa, nieuctwa i talentów.

Wystawa formistów stawia jasno program, nie wyczerpuje go, ani zamyka, łączy tylko pewne nazwiska artystów, ożywione wspólnem obrzydzeniem dla zbombardowanego wojną realizmu i konwenansu.

I to obrzydzenie młodego pokolenia artystycznego jest samo już dla siebie programem i wytwarza szereg nowych możliwości twórczych, które zniknęły u schyłku przedwojennego świata.

Nie oznacza to jednak, aby formizm w tej szacie w jakiej okazał się na wystawie w Zachęcie był ostatnim wyrazem sztuki i wolny był od dziwactw i niedorzeczności.

Bimbamby, Katarynki, niebiosa na półmiskach, kolorowane wielopłaszczyznowce, zidjociałe demony i. t. d. te kropka w kropkę nieodrodne dzieci dekadenckich djabolizmów i oceanów czarnej kawy, po których odpływały nieprzeliczone rzesze klownów do wysp wieczystego zapomnienia — nie są i nie mogą być wyrazem sztuki, ale stanowią potrzebną mierzwę dającą przyszły urodzaj.

I owoż uczyniono przegląd u nas najmłodszej—we Francji, Włoszech, w Niemczech i w Szwajcarji zasiedziałej już sztuki.

Polska się spóźniła, ale właśnie dlatego, że spóźnioną jest o kilka chwilek, atak na „paseizm“ niema już cech „szturmowej histerji“ ale umiarkowanego następowania.

W najbardziej bowiem rewolucyjnych dziełach, przed któremi cucą uczuciowych emerytów, jest sens twórczy, być może nieudolny często i pisklęcy, ale stokroć lepszy od stęchłych wód.

Na tło jednolicie programowych dzieł, które z równym pożytkiem oglądać możemy w katalogach wszystkich niezależnych wystaw w Europie od roku 1909 począwszy, wysuwają się jednak obrazy, które mają zasadnicze znaczenie dla nowej sztuki i stanowią sumę dotychczasowych jej wysiłków.

Zb. Pronaszki: Akt Kobiecy, Chłopiec z harmonijką i Portret damy przekonywują, że fałszywe zgrzyty Bimbambomu i Katarynki, że buty w butonierkach, „tramy w popszek ulicy“, wielopłaszczyznowe rozbiegania jaźni nie wyczerpały swych sił w pognębieniu naturalizmu i wydać mogą dzieła twórcze.

---

*) *Przyp. Red.* Ceniąc wysoce pióro Sz. Autora, publikujemy niniejszy artykuł. Stojąc jednak zasadniczo na innym gruncie co do niektórych punktów widzenia omawianej sprawy, powrócimy jeszcze do niej w dłuższym artykule, który się ukaże w następnym numerze „Placówki“.

I to jest najwyższą racją istnienia niedorzeczności i uzasadnienie dotychczasowych nieprawdopodobieństw.

Ale po za konstruktywnością i dążeniem do stylu tkwi siła nowej sztuki w odnalezieniu ducha w wyzwoleniu go z racjonalizmu epoki i z przytłaczającej materji.

Więc jak na zdrowy rozum kataplazmem był nonsens tak, na niewiarę—religijność.

Artyści zwracają się przeto do prymitywu, tam właśnie, gdzie duch najsilniej się przejawił.

Artyści spojrzeli na polski prymityw sztuki ludowej, na naiwne feretrony krzyże przydrożne pasje i świątki wsiowe, na malowidła podhalańskie, które stwarzał niedoskonały wprawdzie rzemieślnik, ale gorący czciciel Ducha.

Spoglądali tam: Czyżewski, Winkler, Chwistek, Andrzej Pronaszko Wąsowicz, spoglądali wszyscy po koleji, ukochał go Wacław Roguski,

Twórczość W. Roguskiego jest szczególnie cenną dla młodej sztuki, tak jak Skoczylasa „Legenda Zbójnicka", Borowskiego gobelinowe malowidła, Kramsztyka rytmika lub Rzeckiego trecento.

Formizm wyzwalający się z malarskiego materjalizmu ma w Roguskim swego Savanarolę —formizm przemyślający o stylu polskim znajduje w Roguskim konstruktora, który wychodząc z polskiego prymitywu ukazał na wystawie „Portret Kobiecy" i „Przemarsz wojska" (projekt na dekorację ścienną) dzieła zamykające okres prób i twórczego absurdu.

W. Wąsowicz jest nietylko konstruktorem, ale i malarzem, niemal wyłącznym i jedynym pośród kilkunastu nazwisk wystawców.

W. Wąsowicz, zrywając ze zmaterjalizowanym impresjonizmem, zabrał z sobą wszystkie zdobycze improsjonistycznej palety. Zabrał, aby je wprowadzić jako czynnik współmierny i równorzędny z czystą formą.

Więc gdy obrazy Zb. Pronaszki są ciosanemi bryłami o zwartej, rozumnej budowie, gdy W. Roguskiego „Madonny", portrety i kompozycje są konstrukcjami polskiego ducha i formy, to obrazy W. Wąsowicza jednoczą bryłę i barwę w jedną kompozycyjną całość i do zbiorowiska kształtów wprowadzają malarskie wartości.

O harmonję ducha, kształtu i barwy walczy formizm, o tę harmonję, którą mit o Pięknem i Dobrem pragnie przemienić w rzeczywistość.

W. B.

Z literatury.

HOMERA ILIAS, Przekładał Jan Czubek.

Wydanie zupełne. (Gebethner i Wolff. Warszawa, str. 552).

Przekład poetycki jest zawsze w pewnym stopniu parafrazą. Umiejętność zachowania w niej umiaru między wiernem oddaniem tekstu a wnętrzną jego budową—to conditio sine qua wszelkich tłumaczeń.

Ażeby tłumaczyć Homera—trzeba być nietylko świetnym filologiem, nietylko umieć się wczuć w świetlaną głębię duszy helleńskiej, ale być również poetą. I może dla tego nieposiadamy żadnego pełnię zadowolenia dającego przekładu Iliady, bo tłumaczyli ją raz znakomici filologowie, raz znowu poeci.

Pierwszy całkowity polski przekład Iliady (1800) Franciszka Dmochowskiego, chociaż nosi na sobie klasycznie dostojną, sztywną szatę, przewyższa o wiele w kilkanaście lat później wydane transpozycje Jacka Przybylskiego i Staszica. Fragmentaryczne przekłady Kochanowskiego, Słowackiego i Rydla ciekawią nas różnością interpretacyj tych wielkich twórców. Pozostają jeszcze żmudne roboty filologiczne Mleczki, Pawła Popiela, Szmurły, którzy nadali Iliadzie obcą duchowi języka, formę polskiego heksametru.

Niemal przed trzydziestu laty wyszedł w Krakowie przekład pierwszej księgi Iliady dokonany przez Jana Czubka. Obecny zupełny przekład tego zasłużonego profesora i wydawcy przewyższa o wiele wszystkie dotychczasowe. Chociaż nie robił go poeta, niemożna mu jednak odmówić czasem nawet wysokich walorów poetyckich, trzynastozgłoskowy rymowany wiersz, którego tłumacz użył znakomicie się nadaje do uwydatnienia plastyki eposu bohaterskiego. Prof. Czubek oddał przedewszystkiem nieocenioną przysługę młodzieży, której rąk dojdzie dawno zapomniana u nas strawa tego arcytworu wszystkich literatur świata.

P. G.

Treść zeszytu XI-go.

Warunki prenumeraty od 1 lipca:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 320. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 500. Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40, zagranicą i w Ameryce Mk. 60. — Cena oddzielnego zeszytu Mk. 60.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 38.

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA“

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telefon 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka“: WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY GRABOWSKI, GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

№ 4578. 1200. 16. VI. 1921. ZAKŁADY GRAFICZNE M. S. WOJSK.